

ISSN 1233-8605

BIULETYN
ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ ԸՆԿԵՐՈՒԹԵԱՆ
ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

Numer Թիւ

17

KRAKÓW ԲՐԱԲՈՎԻՍ

1999

BIULETYN ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ ԸՆԿԵՐՈՒԹԵԱՆ
ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

W Biuletynie są publikowane relacje, wspomnienia, opinie, opracowania naukowe i inne utwory dowolnej formy, których tematyka jest związana z historią, kulturą i współczesnymi problemami Ormian i Armenii.

Kolegium Redakcyjne

Anna Krzysztofowicz (przewodnicząca)
Adam Mueck
Andrzej Pisowicz
Adam Terlecki
Antoni Amirowicz (sekretarz)

Adres

Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne
pl. Bohaterów Getta 16/10
30-547 Kraków

Numer konta

BPH-SA I/O Kraków
Nr 10601376-320000034183

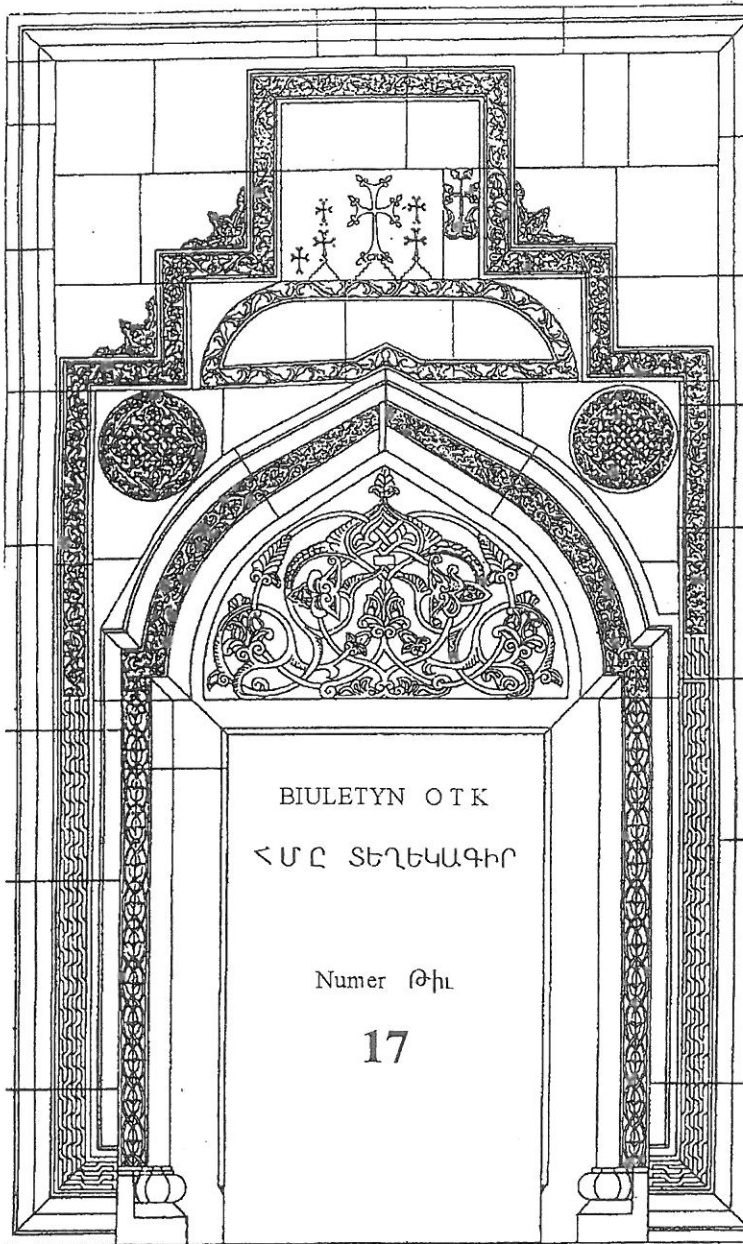
Druk

Towarzystwo Słowaków w Polsce
Kraków, ul. św. Filipa 7

ISSN 1233-8605

**Publikacja została wydana przy pomocy finansowej
Ministerstwa Kultury i Sztuki**

**Skład komputerowy wykonano
korzystając ze sprzętu zakupionego dzięki dotacji
Fundacji Stefana Batorego**



W jednym piekle dwa piekła

Anna DANILEWICZ [Laskowice, woj. dolnośląskie]

Ku uczczeniu pamięci tych,
którzy musieli tak wiele wycierpieć

Dzieje każdego człowieka rozpoczynają się w dniu urodzenia i trwają do dnia śmierci. A w każdym okresie coś się dzieje. Czasem w dzieciństwie bywa coś ważniejszego, czasem w młodości, częściej w wieku dojrzałym, a nierzadko na końcu życia. W czasie wojny wszyscy byli w jakimś wieku. Od urodzenia do śmierci.

Ucichły działania wojenne I wojny światowej. Chłopcy wracali do rodzinnych stron na Bukowinie północnej - do Baniłowa nad Czereмосzem. Opowiadali o swoich przeżyciach wojennych w rodzinnych domach, sąsiadom, znajomym. A dużo później swoim dzieciom, zaczynając od słów *Bywało, że ...* itd. Pamiętam mojego kuzyna, który będąc jeszcze małym chłopcem pytał i prosił swego ojca *Tatku, niech tatko opowie jeszcze raz, jak to "Bywało"*.

Ci, co poszli na wojnę w wieku, kiedy mogli już się żenić, wrócili jako starsi kawalerowie. Młodszy zdążyli przez te cztery lata też dojrzeć do żeniaczki. W sumie dużo było kawalerów, a panny też czekały przez te cztery lata starzejąc się równocześnie z kawalerami. W pierwszych latach po I wojnie światowej było mnóstwo wesel. Moi rodzice też w owym okresie zawarli związek małżeński. Ojciec miał już 28 lat, a matka 23.

W tym też czasie wyszła za mąż bardzo młoda, jeszcze niepełnoletnia (wówczas pełnoletność osiągały panny w wieku 21 lat, a kawalerowie 24 lat) bohaterka mojego opowiadania, Józefa Łopuszańska. Jej mąż wrócił też z wojny, a miał już lat 32. Za duża różnica wieku stała się przyczyną, że to małżeństwo okazało się nietrwale. W 1925 roku urodziła im się córeczka Anna, którą nazywali Nuśką. Pani Józefa z kilkuletnią córką Nuśką opuściła dom swojego męża i zamieszkała w domu swego ojca i macochy, którzy też mieszkali w Baniłowie. W domu pp. Łopuszańskich bywałam nieraz. Zabierała mnie ze sobą moja ciocia, która przyjaźniła się z p. Józefą, a ja byłam o cztery lata starsza od jej córki Nuśki.

Lubiłam chodzić do tego domu. Było tam zawsze wesoło, a dodatkową atrakcją stanowił staroświecki gramofon z dużą trąbą, który zaraz nakręcano. Płyty były też staroświeckie, a zapamiętałam jedną piosenkę rosyjską "Oczi czornyje" - cóż to za antyk byłby dzisiaj. Trzeba było zmieniać igły, które się tępiły, a nazywano je wówczas "szyfty", no i wciąż kręcić korbę.

Dom był przy cichej bocznej ulicy. Przed domem ogródek z kwiatkami, a przy parkanie od strony ulicy rosły dwa drzewa dereniowe. Nigdzie więcej takich drzew nie widziałam. Owoce podobne w smaku do owocu wiśni, o kolorze ciemno bordowym przechodzącym w czerń. Znam nawet piosenkę ukraińską o tym owocu:

*Очи чорні як дерн
Коли мы ся поберем*

(Oczy czarne jak dereń
Kiedy my się pobierzemy)

Kształt owocu podobny do daktyli z równie długą cienką pestką, a na niej miąższ kwaśniejszy od wiśni. W każdym domu zasypywano cukrem ciemne wiśnie, a w domu państwa Łopuszańskich zasypywano cukrem dereń. Częstoowano nas tym sokkiem, a był wspaniały.

Nuśka zaczęła chodzić do szkoły, a jej matka podjęła pracę w fabryce nici w Czerniowcach. Przyjeżdżała do domu - czasem na niedzielę, zawsze na Święta. Zamierzała wyjść za mąż po raz drugi, ale nie układało się jakoś po jej myśli i nigdy już za mąż nie wyszła. Pamiętam jej powiedzenie: *Szkoda, że nie można zobaczyć co jest w sercu człowieka.*

Ale nastał rok 1940 i północna Bukowina została zabrana od Rumunii i wcielona do Związku Radzieckiego. Jeden rok trwała aneksja, a zdążono wiele rodzin wywieźć na Sybir. Następni zapisani na czarnej liście, ze strachem przeżywali każdy dzień i każdą noc. Pani Józia przyszła raz do nas i powiedziała coś wręcz odwrotnego od jej dawniejszych pragnień, żeby można widzieć co jest w sercu człowieka. Tym razem: *Jak to dobrze, że nikt nie może widzieć co jest w sercu drugiego człowieka.* A żywiliśmy wówczas niemiłe uczucia, które skrzętnie ukrywaliśmy. Wraz z uderzeniem Niemiec na Związek Radziecki (22.VI 1941 r.) ustały transporty na Sybir. Napoczęta czarna lista została i my zostaliśmy w rodzinnych stronach, i w rodzinnym domu. Radość wielka.

Front przesunął się na wschód, a w Baniłowie życie wróciło do normalności, która trwała 2 lata i 9 miesięcy. W nocy z 25 na 26 marca 1944 front przesunął się ze wschodu na zachód przez nasz

teren i znowu znaleźliśmy się po stronie Związku Radzieckiego. Mężczyzn powołano do wojska, a kobiety wywożono na Donbas do kopalni węgla.

Na wiosce rekrutacja kobiet na Donbas odbywała się na zasadzie listy sporządzonej w "silradzie", a dziesiętnik (jeden człowiek wyznaczony z każdej ulicy) roznosił karteczki z nakazem stawienia się w punkcie zbornym w oznaczonym dniu. W ten sposób otrzymała też bilet na wyjazd moja ciocia, siostra mojej matki Anna Wartanowicz, mająca wówczas 41 lat. Samotna, mieszkająca ze swoją matką mającą 74 lata i chorą na reumatyzm stawów rąk tak bardzo zaawansowany, że trzeba było ją karmić i wszystko koło niej zrobić. Dobrzy ludzie, którzy mogli pomóc w tej sprawie, spowodowali, że ten nakaz został uchylony i w ten sposób ciocia została dosłownie uratowana. Z Donbasu powrotu nie było, chyba ucieczka.

Pani Józia pracowała nadal w fabryce nici w Czerniowcach, jak również jej córka Nuśka, która wówczas miała już 19 lat. W Czerniowcach ta akcja odbywała się nieco inaczej. Robiono łapanki. Obstawiano miejsca najbardziej uczęszczane, np. plac targowy, gdzie dużo ludzi, a szczególnie kobiety robiły zakupy żywności każdego dnia. Plac przed kinem w czasie, kiedy seans się kończył, lub plac przed kościołem, z którego wychodzili wierni po nabożeństwie. Na miejscu robiono selekcję i zdolnych (według segregujących) do pracy od razu wożono samochodami zwanymi "budy" (ciężarówka z budą) na stację kolejową do podstawionych składów pociągów.

Opowiadali nam znajomi w Czerniowcach, że z ich ulicy została zabrana w łapance jedna młoda kobieta, która z niemowlęciem w wózku udała się na targ i nie wróciła. Kiedy mąż przyszedł z pracy, ktoś dał mu znać, że wózek z dzieckiem jest na placu. Zaraz udał się tam i zabrał, ale niemowlę ssało tylko pierś matki - nie umiało jeszcze przyjmować innych pokarmów i mimo wszelkich prób sąsiadek dziecko zmarło. Żony już nie odnalazł.

Ale wracajmy do wątku naszego opowiadania. W jednej łapance zabrano Nuškę. Ktoś, komu udało się uciec, a znał te osoby, dał znać pani Józi, która natychmiast pobiegła na stację, tam gdzie ich do pociągu ładowali, i zaczęła prosić kogo tylko mogła, żeby ją wypuścili, że ona pracuje, ale kiedy zobaczyła, że nie może córkę odzyskać, na siłę weszła do tego wagonu, gdzie była Nuśka i tak razem zostały wywiezione. Co się z nimi tam działo, na razie nie wiedzieliśmy. Słuch o nich zaginął.

Jeśli tam było jedno piekło (jak później opowiadały), to tu było drugie piekło. Władze sowieckie urządowały w mieście Waszkowce

(14 km od Baniłowa), a w lasach położonych wyżej Baniłowa, w Bereźnicy urządowały nieformalne grupy ukraińskie uzbrojone w zdobyczną broń, którzy nocą schodzili do wsi. Rano wycofywali się w góry, bo rano przyjeżdżały z miasta czołgi z urzędnikami, którzy ustanawiali urząd w gminie, a na noc odjeżdżali do Waszkowiec. Z nastaniem nocy banderowcy (tak siebie nazywali) schodzili do wsi, mordowali wszystkich mianowanych urzędników i palili ten budynek, w którym władza sowiecka urządowała. Rano znów przyjeżdżały czołgi z urzędnikami, ustanawiali nowe władze w nowym budynku. Pustych budynków po wymordowanych Żydach było sporo w centrum wsi. Nocą proceder się powtarzał, aż do czasu kiedy zabrakło pustych budynków nadających się na urząd gminy. Żydzi zostali wymordowani w 1941 roku w okresie kiedy władza sowiecka ustąpiła, a władza rumuńska jeszcze nie wkroczyła. Teraz mordowano tych, których władza sowiecka ustanawiała jako swoich urzędników, i zaczęli mordować rodziny polskie oraz palić ich domy.

Rodziny ormiańskie spotkał ten sam los. To paradoks, ale ci co przeżyli, uratowali się dzięki rodzinom ukraińskim. Nocowaliśmy u sąsiadki Ukrainki, na strychu nad stajnią. Była jesień i coraz zimniej. Zaprosiła nas dalsza sąsiadka, też Ukrainka (nazwisko Czornohuz), że możemy u niej w mieszkaniu nocować. Przyszliśmy tam na noc, a u nich chleb się piecze, zwyczajna rzecz. Ale wyciągają ten chleb, a następny do pieca wsadzają. W korycie ciasto na nową partię chleba. Poszliśmy spać, a w kuchni całą noc pracują kobiety przy tym piecu. Po północy słychać szczekanie psów i rozmowy. Grupy ludzi snujących się po podwórku. Przyjechali z lasu po chleb, a my ze strachu drżymy. Sąsiadka przychodzi do nas i mówi: *Nie bójcie się, to nasi*. Ona mogła tak powiedzieć - "to nasi", ale dla nas nie byli "nasi".

Żyliśmy w ciągłym strachu. W tym czasie zamordowano dwie rodziny ormiańskie, dwóch braci Jakubowiczów, i spalono ich dobytek. Nasza pierwsza sąsiadka wciąż nam powtarzała: *Wy jeszcze nie uciekajcie, o was jeszcze nic nie mówią. Jak by coś, to wam powiem*. I tak codziennie przed wieczorem przychodziła, żeby utwierdzić nas, że możemy jeszcze zostać. Ale w domu nie nocować. Aż pewnego grudniowego wieczoru przyszła jak co dzień, jednak w smutnym nastroju. Usiadła i nie mogła wyrzucić słowa. Wiedzieliśmy, że coś jest niedobrze. Wreszcie opuściwszy głowę jednym słowem wyjaśniła wszystko - *Uciekajcie, już mówią o was*.

Tu chcę wyjaśnić, dlaczego nie zostałam zabrana na Donbas. Opisując dzieje innych, nie sposób nie wspomnieć o własnych, jak również nie można opisać dziejów własnych w oderwaniu od innych

ludzi. Moje życie toczyło się w otoczeniu innych ludzi, jak również ja byłam otoczeniem dla innych. Byliśmy jak pasmo nici, wplątani w jedną tkaninę. A osnową tej tkaniny była Bukowina Północna. Na tej kanwie wszystko się działo, a dotyczyło wszystkich mieszkańców tej krainy. Otóż przed 25 marca 1944 roku za czasów drugiej Rumunii trwała ewakuacja ludności przed nadchodzącym frontem ze wschodu. Moi rodzice i ja mieliśmy już kartę ewakuacyjną do południowej Rumunii. Mieliśmy załadować nasz dobytek do pociągu i wyjechać. Zwoziliśmy rzeczy na dworzec kolejowy w Baniłowie, a pociąg miał być następnego dnia, czyli 25 marca 1944. Część bagaży ojciec jeszcze pojechał przywieźć, a ja z matką już pilnowaliśmy to, co było złożone na torach. Tymczasem był telefon ze stacji kolejowej w Wiżnicy, że są już ostrzeliwani, że wypuszczają pociąg bezplanowo, i że to jest ostatni. Ten ostatni pociąg to były odkryte wagony towarowe. Nie wiedzieliśmy co zrobić. Inni ładowali się jak stali, a ja z matką i częścią bagaży zostaliśmy.

Tu wspomnę tak miły drobny incydent. Pewien znajomy kawaler z Baniłowa (Jan Linecki) ładował swoje skrzynie na platformę wagonu. Studzy układali jedną przy drugiej, a najtrudniej im było przy załadunku kasy pancernej. Była zbyt ciężka. A kiedy już uporali się z nią pan Linecki podszedł do nas i zaproponował pomoc przy załadunku na tą samą platformę. Odpowiedziałam, że nie jedziemy, bo nie ma ojca i reszty naszych rzeczy. A on na to: *Ja się pani oświadczam, nie trzeba pani żadnych rzeczy* (przy tym wskazał na już załadowaną kasę pancerną). Uśmiechnęłam się w tak smutnym momencie losu naszej rodziny opuszczającej rodzinne miejsca idąc w nieznaną i podziękowałam za jego szczere chęci dopomożenia nam, ale zostajemy. Zaraz przyjechał ojciec, lecz pociągu już nie było.

Formował się transport konny. Ojciec zdecydował, że pojedziemy w tym transporcie. To znaczy ja z matką i brat matki wujek Bodzio. Ojciec jeszcze został. Powiedział: *Wy jedziecie, a ja was tam znajdę, jeszcze tu coś załatwię*. Była sobota rano 25 marca i dzień Zwiastowania - "Oby wam nie przyszło uciekać w święto lub w dzień szabatu" (cytat z Pisma Św.). A tu jak raz i święto i dzień sobotni. Zbieg okoliczności. Nie myśleliśmy o tym tego dnia. Jechaliśmy w tej długiej karawanie wozów i koni przez coraz wyżej wznoszący się teren, najpierw pól, później wyżej lasów. Zima w górach była jeszcze w pełni. Piękne krajobrazy. Ośnieżone choinki, a każda mogłaby być wigilijna, takie piękne były. Ale my już byliśmy w tułaczym nastroju. Jechaliśmy cały dzień bez postoju. Późno wieczorem dotarliśmy do naszego miasta powiatowego Starożyńca. Tam kierownik transportu

zarządził, że transport zajedzie na olbrzymie podwórze majątku pana Flondora. Znane nazwisko w Czerniowcach, stolicy regionu, najbardziej elegancka ulica była właśnie "strada Jancu Flondor".

Ale co ma wisieć nie utonie. Wujek Bodzio zaproponował dla nas inne rozwiązanie. Po co mamy nocować pod gołym niebem, a w dodatku śnieg padał, skoro mamy w tym mieście znajomych. Państwo Doujakowie (Dujakowie) mieszkali tu od lat, a pani domu pochodziła z Baniłowa naszego. Więc bardzo ucieszyła się nami i serdecznie ugościła gorącą kolacją i pierzynami do spania. Kiedy tak ciepłutko i smacznie spało się pod puchową górą, o północy był alarm i transport wyjechał bez nas. Rano obudziliśmy się od detonacji z ciężkich dział i warkotu czołgów na ulicy, przy której zatrzymaliśmy się. A była to ulica wylotowa z miasta. Tak nas front przeskoczył.

Zostaliśmy w tym domu, ale nie na długo. Pan Doujak za czasów Austrii był księdzem. Ponadto byli zamożni, mieli dwóch synów: jeden był księdzem, a drugi prokuratorem. Czyli wszystkie grzechy główne w owym czasie. Synów wprawdzie w domu nie było, ale rodzice byli za nich szykanowani. Zaczęto ich dom nachodzić w złych zamiarach. Trzeba było uciekać i z tego domu, bo z własnego uciekliśmy już wcześniej.

Drogi były zawiane śniegiem. Zaspy sięgały niebotycznych wysokości. Nie było możliwości wyjechać furmanką na ulicę. Wujek poszedł pieszo szukać jakieś lokum. Znalazł mieszkanie po drugiej stronie Starożyńca, na Pance, u jednego gospodarza Rumuna o polskim nazwisku Krasowski Mikołaj. Ale jak do niego dotrzeć. Tory kolejowe przebiegały niedaleko za ogrodem. Udało się wyciągnąć wóz na podkłady, które były wolne od śniegu, jako że wiatr zwał śnieg z tej wysokości. Konie ciągnęły metr po metrze, koła skakały z podkładu na podkład, aż dojechaliśmy na Pankę (przedmieście Starożyńca). Gospodarz schował konie do stajni, wóz rozebrał do stodoły, bagaże dał na strych domu wraz z nami. Jesteśmy, ale nas nie ma. Tak przeszła wiosna i lato.

Latem była akcja Donbas. Chodzili od domu do domu i zabierali. Przychodzili też do domu, gdzie my mieszkaliśmy. Oczywiście nocą. Gospodarz udając się na spoczynek zamykał drzwi na zewnątrz na kłódkę a wchodził przez okno do domu. W nocy kiedy przychodzili zobaczyli kłódkę myśleli, że nie ma nikogo w domu i odchodzili. Ale za którymś razem powiedzieli, że to coś podejrzana sprawa, że następnym razem zerwą kłódkę i sprawdzą kto jest w domu. Padł na nas strach. Dusza ciągle na ramieniu. Postaliśmy umyślnego do Baniłowa, do ojca, żeby przyjechał i nas zabrał, bo może już nas nie zobaczyć.

Gospodarz skontaktował się z przemytnikami, żeby nas przerzucili przez granicę do Rumunii, granica była niedaleko. Ale wujek Bodzio zdecydował, że najpierw pójdzie sam, a jak będzie dobrze, to da znać przez tych przemytników i my mamy tą samą drogą iść.

Ale znaku nie dał. Po wojnie dopiero napisał, że strzelano do niego, że cudem się uratował i nie mógł nas narażać na takie niebezpieczeństwo. W 1946 roku wybierał się do Polski, ale w tym czasie była tam epidemia tyfusu brzuszego, na który zachorował i zmarł. Jest pochowany w Radowcach - też jeszcze Bukowina, ale Bukowina należąca do Rumunii.

Ojciec, będąc w Baniłowie był pewny, że jesteśmy bezpieczni w południowej Rumunii. Po sąsiedzku mieszkała staruszka Ukrainka, która wróżyła rzucając ziarna fasoli lub kukurydzy. Mówiła ojcu, że my jesteśmy niedaleko i że niedługo się zobaczymy. Ojciec śmiał się z jej wróżb, tak był pewien swojego zdania. Kiedy poślaniec przyszedł z listem od nas wszystko się sprawdziło. Gorzka to była prawda, jak to zwykle prawdy bywają, ale prawdziwa. Bardzo się zmartwił, czas jednak nagiął i szybko po nas przyszedł.

Wracaliśmy tymi samymi pięknymi okolicami. Lasy pachniały żywicą, ale w tych lasach już ukrywali się banderowcy. Padały strzały tu i tam, nie wiadomo kto strzelał i do kogo. A dusza ciągle na ramieniu. Strach towarzyszył nam przez cały czas. Zmieniały się tylko jego powody. Przed wieczorem dojechaliśmy do najniższego pagórka, z którego zjeżdżało się wąwozem na pola i wieś Baniłów. W tym wąwozie zaczekaliśmy, aż się zrobi zupełnie ciemno, żeby nas nikt nie widział. Pod osłoną nocy zajechaliśmy do domu mojej babci. Tam zaraz wszystko pochowaliśmy, a ja z mamą schowaliśmy się na strych. Tak, że fizycznie byłam w Baniłowie, ale oficjalnie mnie nie było, jak również mojej matki.

Kiedy jesień stawała się coraz zimniejsza, przeniostałam się ze swoją "siedzibą" do kuchni. Na dużym piecu chlebowym, w rogu zbiegających się ścian umocowałam żerdź końcami na jednej i na drugiej ścianie tworząc trójkąt. Rozwiesiłam na żerdzi wianki cebuli gęsto obok siebie, tak że stworzyła się cebulowa ściana. Za tą ścianą w tym maleńkim trójkącie siedziałam w kucki. Inna figura nie była możliwa. Starłam się być nieruchoma, żeby cebula nie szeleściła. Nawet jak przyjechała moja druga babcia (matka ojca) zapytać czy nie ma od nas wiadomość, słuchałam w swojej "cebulowej celi" jak to jestem daleko w Rumunii. Czasem mimo woli poruszyłam się i suche liście cebuli zaszeleściły, wtedy babcia gromiła kota, że niby kot siedzi za tą cebulą, wygrzewa się na piecu, co było bardzo prawdopodobne,

i szeleści. Ale było to prawdopodobne tylko wtedy, kiedy kot akurat w tym czasie nie przechadzał się po kuchni.

Pamiętam taki incydent. Pewnego wieczoru, kiedy robił się zmierzch chodziłam po kuchni, żeby rozprostować nogi. W tym czasie biegał dziesiętnik, to jest wybrany człowiek jeden na każdą ulicę, mieszkaniec tej ulicy, roznosiciel różnych nakazów. Bądź to, że trzeba dać kartofli, a to buraków, kapusty, marchwi, a to mięsa, zboża, cebuli, czosnku itd. Albo, że trzeba iść na mityng. Był to Ukraińiec, który codziennie musiał oblecieć swoją ulicę i wszystkich o wszystkim powiadomić. Pies już nawet na niego nie szczekał. Chodził w postawach (kierpcach) i jego cichostępny krok nikt z nas nie usłyszał. W momencie kiedy wszedł do kuchni, ja stałam za stołem. Od razu schyliłam się za wiszący obrus. Facet zaczął przecierać oczy i zaniemówił. Jemu się zdawało, że ma przewidzenie. Długo tak stał, aż babcia szybko coś zagadała i on poszedł. Zapomniał po co przyszedł. Idąc do furtki, coś do siebie mamrotał i wciąż oczy przecierał. A my uśmiełyśmy się ale to była przestroga na przyszłość

Teraz już jestem i w tym miejscu, i w tym czasie, że trzeba było nocować u sąsiadów, a i ten okres dobiegł końca i trzeba było uciekać do miasta, bo sąsiadka powiedziała, że już o nas mówią ci, co mordowali i palili. Bardzo nas lubiła i nasza tragedia byłaby dla niej ciężkim przeżyciem.

I tak 12 grudnia 1944 roku zabraliśmy co się dało na jeden wóz i wyjechałam z rodzicami. Okazało się dla mnie i mojej mamy, że już na zawsze z Baniłowa. Ojciec jeszcze kilka razy pojechał po babcię i ciocię, i jeszcze co się dało zabrać z rzeczy ruchomych. Pierwszy etap to Waszkowce - 14 km. Tam przenocowaliśmy na plebanii, a rano następnego dnia wyruszyliśmy do Czerniowiec. Z nami szła większa grupa, kilkanaście osób, oraz ks. Józef Jędrzejowski, nasz proboszcz. Wszyscy szliśmy na piechotę tylko bagaże jechały na wozie. Dzień był słoneczny z lekkim przymrozkiem, co się rzadko zdarza w połowie grudnia. Pomimo dramatycznej sytuacji nastrój był pogodny. Uciekliśmy od tych, co zabijają nocą. Nawet żartowaliśmy.

Ksiądz był zaprawionym piechurkiem. Często chodził piechotą do Czerniowiec i z powrotem, 40 km w jedną stronę, a my po raz pierwszy. Przypominał nam, żebyśmy broń Boże nie próbowali nigdzie usiąść chociażby na chwileczkę. Już byliśmy niedaleko Czerniowiec - 8 km, we wsi Łużany. Przechodziliśmy obok przydrożnej kapliczki, a dookoła niej był niski murek. Pomimo surowego zakazu usiadłam, ale już nie mogłam wstać. Podnieśli mnie i wysadzili na furmankę

w pozycji leżącej na bagażach. Wyglądało jakby wieszono nieboszczyka. Tylko klacz bardziej zgięła kark i zapierała się kopytami o gościniec. Szkoda było zwierzęcia i żałowałam swej głupoty. Wieczorem dotarliśmy do Czerniowiec.

Udzielili nam schronienia państwo Jackowscy, mający duży dom w dzielnicy Kłokuczka nad Prutem. Znieśli mnie z tego wozu, a u nich był jak raz wojskowy Ormianin, major Karachanian, w jakichś handlowych interesach, jak to Ormianin. Zaciekał się co się stało. Gospodyni odpowiedziała, że jestem chora, sparaliżowana i niemowa, i że przywieziono mnie do lekarza. Bardzo mi współczuł mówiąc: *szkoda, taka młoda i taka chora*. Miałam wówczas 23 lata. Dom państwa Jackowskich był bardzo obszerny. Mieli trzy córki i jednego syna. Każdy mógł założyć rodzinę i mieć swoje mieszkanie z osobnym wejściem. Dwie córki już zamężne, jednej mąż był w wojsku polskim na froncie i syn kawaler też w wojsku, a najmłodsza córka, jeszcze małaletnia mieszkała z rodzicami.

Teraz postaram się policzyć ile osób znalazło w tym domu schronienie: moi rodzice i ja (Mazurkiewiczowie), jedna siostra p. domu z mężem i córką (Donabidowiczowie), druga siostra z mężem, córką i synem (Halipowie), trzecia siostra z dwoma córkami i synem (Bulanowska), szwagier p. domu z drugą żoną (pierwsza była siostrą p. domu), z córką z pierwszego małżeństwa i synem oraz trzema córkami z drugiego małżeństwa (Tumanowiczowie). Domowników, łącznie z trojgiem dzieci od dwóch córek, dziewięć osób oprócz dwóch mężczyzn na froncie. Tych, co znaleźli schronienie w tym domu było dwadzieścia jeden osób. Razem z domownikami było nas trzydzieści osób.

Codziennie wieczorem wszyscy zbierali się w największym pokoju na wspólną modlitwę. Oprócz domowników nikt nie był zameldowany. Wszyscy mieszkali nielegalnie, wszyscy się ukrywali. Nikt w dzień nie wychodził z mieszkania, a tylko w nocy kiedy nie świecił księżyc, żeby rozprostować kości. Liczyliśmy ile razy kto okrążył dom. Dookoła domu było sporo miejsca. Dojście do domu było tylko od strony ulicy na podwórko. Z innych stron okrężała stroma skarpa. Dom był postawiony nad skarpią. Snuliśmy się jak duchy, rozmawiając szeptem w ciemne bezksiężycowe noce.

Nadszedł Nowy Rok 1945. Rano dwie osoby weszły na podwórko. Były w takim stanie, że nikt je nie rozpoznał. Nawet ich głosy były zmienione, a była to pani Józefa z córką Nušką. Stan ich był już krytyczny, wygodniate, nędznie odziane w łachmany. Uciekły z Donbasu. Cały grudzień przemieszczały się różnymi środkami,

najczęściej na piechotę z niemiłymi przygodami i tak dotarli do Czerniowiec. Zaraz nagrzano dużo wody. Każdy przyniósł jakąś część garderoby, a to co z nich zdjęto, natychmiast spalono. Najgorzej było z głowami. Włosy zlepione w stożki sterczące, napelnione wszami. Koło każdej głowy stanęło kilka osób i rozplątywało ale trzeba było użyć nożyczek bo inaczej nie dało rady. Ich stan był świadectwem tego, co przeszły.

Było nas już 23 osoby ukrywające się. Ale po paru tygodniach, kiedy obie już doszły do siebie, postanowiły udać się do Baniłowa. Wszyscy odradzali. Pani domu prosiła, żeby chociaż Nuśka została. Jednak obie trzymały się razem. Los ich nieszczęsny połączył je w jedną całość. Pani Józia powiedziała pamiętne słowa - *już większego piekła nie ma na ziemi* - i poszły do Baniłowa. A jednak było jeszcze drugie piekło, ale dopiero po około dwóch miesiącach, na tydzień przed Wielkanocą.

Trwała zima. Nerwy wciąż nadmiernie pracowały z nakładających się powodów. Powodów wciąż dochodziło do już istniejących. Jest takie przysłowie ukraińskie "Sin bid na oden obid", w tłumaczeniu "Siedem bied na jeden obiad". Ta siódma bieda to był tyfus plamisty. Rozprzestrzeniła się epidemia tyfusu. Było rozporządzenie, żeby zaznaczyć domy, w których był ktoś chory na tę chorobę. Najpierw ucieszyliśmy się, bo ta nowa sytuacja nas dodatkowo chroniła. Szybko zawiesiliśmy nad bramą kukłę ze szmat i słomy - znak dżumy, żeby żadna kontrola nie miała ochoty policzyć ile nas było za dużo w tym domu. Ale nomen omen, licho nie śpi. Żona pana Tumanowicza zachorowała na tyfus naprawdę, i co gorsza, zmarła. Wiecha na bramie okazała się, że nie kłamała. Ich trzy córki też zachorowały, ale jakoś udało się incognito umieścić je w szpitalu i przeżyć.

Pan Tumanowicz ubrał swoją nieboszczkę żonę tak, jakby była żywa - w płaszcz zimowy, ciepłą chusteczkę na głowę i posadził na wóz jakby wiózł pasażerkę, i pojechał 54 km do Baniłowa, żeby na baniłowskim cmentarzu ją pochować. Towarzyszyła jemu jedna ze szwagierek, pani Bulanowska, która później relacjonowała wydarzenia. Bez żadnych niespodzianek dojechali do Baniłowa. Ich dom był pierwszy przy wjeździe do wsi od strony miasteczka Waszkowce. W domu był jeszcze młodszy ich syn Piotr, który pilnował resztę dobytku. Piotr wyszedł im naprzeciw i zapytał, czy matka umarła. A kiedy zapytano go skąd wie, odpowiedział, że tej nocy widział ją jak chodziła po ogrodzie. Widocznie przed opuszczeniem tego świata przyszedł jej duch pożegnać swoje gospodarstwo i dał się widzieć synowi na pożegnanie. Po pochowaniu zmarłej na cmentarzu Piotr

prosił ojca, żeby zabrał go, ale ojciec odpowiedział: *Zostawiam cię tu na ojcowiznie na ofiarę*. I tak się stało. Następnym razem jak pojechał do Baniłowa zastał syna zamordowanego. W wejściu do domu były drzwi do piwnicy. Piwnica była otwarta i on tak nad tym otworem leżał zabity.

Czas zbliżał się do Wielkanocy. Panią Józję i Nuškę oczywiście tyfus nie ominął. Widocznie musiały przejść przez wszystko, co najgorsze. Chorowały ciężko, ale już zdrowiały. Nuška bardzo się bała. Raz, że uciekły z Donbasu i będą ich za to ścigać, a drugie banderowców. Nie przyznały się, że uciekły. Nuška opowiadała władzy, że pozwolono jej chorą matkę odwiedzić do domu i ma wrócić. Kiedy zdrowiały martwiła się, co będzie mówić później, kiedy matka całkowicie wyzdrowieje i nie będzie powodu, żeby musiała być przy niej. W Palmową Niedzielę przyniosła jej kuzynka kompot z jabłek, o którym prosiła Nuška. Bardzo smutna opowiadała kuzynce, że miała sen. Szła do ślubu w białej sukni, ale stała przy ołtarzu sama. Nie było pana młodego. A kiedy spojrzała na suknię, zobaczyła same plamy.

W dwa dni później kuzynka dowiedziała się, że ich haniebnie zamordowano, jak również dziadka i jego żonę. Na schodach do piwnicy była krew i mózg, a ciała poćwiartowane. Ktoś zbił dwie skrzynie, w które te kawałki ludzkie poukładał i zakopał na cmentarzu. Domu nie spalono albowiem obok były domy ukraińskie. Kuzynka Nuški nie miała odwagi zobaczyć na własne oczy, ale była jej sąsiadka, która widziała i opowiedziała. Tak przeszły przez drugie piekło ś.p. pani Józefa i jej córka Anna.

U jej kuzynki w domu państwa Konstanytniuków zbierało się kilka osób z najbliższego sąsiedztwa na modlitwy, a w piątki na drogę krzyżową. Był czas wielkiego postu. Po wyżej opisanym tragedii w tym tygodniu był Wielki Piątek. Sąsiad Mikołajewicz odprawiał drogę krzyżową i na zakończenie pomylił się i zamiast "któryś cierpił za nas rany" powiedział *wieczne odpoczywanie racz nam dać Panie*. Też nomen omen. W następną noc z piątku na sobotę przed Wielkanocą została zamordowana i spalona cała rodzina. Ojciec, matka, dwóch synów, 15-16 lat, dwie córki bliźniaczki 12 lat i babcia. Wówczas w sam dzień Wielkanocy państwo Konstanytniukowie z córką (syn był daleko na Syberii w niewoli), opuścili Baniłów. Nie odbyło się bez strachów i perypetii.

A my w Czerniowcach oczekiwaliśmy z niecierpliwością Komisji Repatriacyjnej z Polski, która przyjechała do Czerniowców w maju 1945 roku. Od razu zapisaliśmy się wszyscy, ale zmieściliśmy się dopiero w drugim transporcie, który liczył ponad 400 osób. Byliśmy

już nie skrępowani tym, że nielegalnie mieszkaliśmy, że nie zameldowani itd. Poruszaliśmy się swobodnie, z tym, że przy zapisywaniu się nie odbyło się bez przeszkód. Stawało się przed dwoma komisjami: polską i ukraińską. Przy ukraińskim stoliku namawiano ojca, żeby nie wyjeżdżał, albowiem nie jest Polakiem, bo nazwisko Mazurkiewicz jest ukraińskie. Tu nie chodziło o to, żeby ktoś tam nie wyjechał - a nazwisko akurat nie było ukraińskie, co też śmiesznie wyszło - ale chodziło o to, jakby wyciągnąć jakąś łapówkę. Wszystko było przedmiotem przetargu, za ile.

Jedna rodzina polska przyjechała ze Związku Radzieckiego do Czerniowiec i chciała wyjechać do Polski. Pani Wesołowska pochodziła z Baniłowa - z domu Jackowska, siostra naszego gospodarza. Przebywała z mężem w Rosji przed rokiem 1917. Po rewolucji granice zamknęły się i kto był tam, musiał pozostać. Dopiero teraz w roku 1944 udało im się dotrzeć do Czerniowiec. Dzięki srebrnej papierośnicy, zegarkowi i zawiniątku z pieniędzmi państwo Wesołowsy zamieszkali w Zielonej Górze.

A my wyjechaliśmy 18 lipca 1945 załadowani na odkrytej platformie, dzięki której mogliśmy daleko widzieć. Wyjeżdżając pomachaliśmy ręką w kierunku domu na skarpie tak dla nas gościnnego. A był widoczny od stron torów kolejowych. Właściciele tego domu też machali rękoma, ale domu na pewno nie widzieli, bo łyzy zasłoniły im ten widok. Im dalej byliśmy od rodzinnych stron, tym bardziej byliśmy bezpieczni. I to nam sprawiało jakąś ulgę, która walczyła ze smutkiem utraty czegoś drogiego - rodzinnego domu, rodzinnych stron. Ten smutek przesunął się na drugi plan. Jednak najdroższe jest życie.

Nasz pociąg ciągnęła lokomotywa parowa, ale nie tylko węgiel był siłą napędową naszego poruszania się po torach. Bywało, że staliśmy w szczerym polu lub lesie. Wtedy baliśmy się, żeby nie napadnięto na nas w celu rabunkowym. Kierownik pociągu biegł do maszynisty, żeby się dowiedzieć dlaczego stoimy. Wracając przystawał przy wagonach gdzie toczono do butelek wódkę z różnych baniek, które każdy miał w zapasie na drogę, na równi ze święconą wodą, tyle, że tej ostatniej w dużo mniejszej objętości. Wódka to środek leczniczy na rozgrzewkę podczas przeziębienia, jak i płatniczy równoległe z pieniądzem. Miała ją w zapasie nawet staruszka, która już od dawna nie znała smaku alkoholu. Po dostarczeniu "paliwa" natychmiast jechaliśmy w dalszą podróż. Paliwo ma to do siebie, że się wyczerpuje. A zatem znowu stawaliśmy w najbardziej nieodpowiednim miejscu, gdzie daleko było do ludzi, a tym bardziej do Boga. Wiedzieliśmy jednak o co chodziło. Butelki stały napełnione, gotowe

do drogi. Dzięki parze wodnej i oparów alkoholowych dotarliśmy do miejsca przeznaczenia.

Dusza, która przez tyle czasu stała na ramieniu gotowa w każdej chwili nas opuścić i odlecieć w kosmiczną dal, chowała się z powrotem w głębiny naszego istnienia i czeka na normalny odlot w normalnym, wyznaczonym i przeznaczonym nam czasie. Później, kiedy emocje opadły, przyszedł czas na refleksje, wspomnienia ludzi i ich losów. Krążą w szufladach naszej pamięci i od czasu do czasu pokazują się nam jakby na ekranie. Widzimy je oczami naszej wyobraźni i czasami wydaje nam się, że to był sen, koszmarne sen, że tak naprawdę nie mogło się zdarzyć. A jednak się zdarzyło. Pani Józefa i jej córka Anna zostały tam, wierne rodzinnemu domowi i rodzinnej miejscowości do końca swego życia. Za tą wierność spoczywają w rodzinnej ziemi.

Ta opowieść jest prawdziwa, ale na pewno niekompletna. To są urywki prawdziwych zdarzeń, których było o wiele więcej. Któż jest w stanie dzisiaj wszystko zapisać. O wielu wydarzeniach nigdy już nikt się nie dowie. A szkoda. Szkoda, że pisarze wymyślają powieści i starają się, żeby były prawdopodobne, a scenarzyści filmów tak samo, skoro można napisać prawdziwe opowieści. Ale te są nieprawdopodobne i ktoś czytając powiedziałby: *Ale wymyślono, przecież tak nie mogło się wydarzyć*. A jednak wydarzyło się.

Ród Persyan Axentowiczów

Marceli PERSYAN AXENTOWICZ [Horodenka]

W początkach 17 wieku osiadł w Słucku Ormianin perski szlachcic - nazwiskiem Paschalis Axenti (=Jakób) trudniący się wyrobem rozmaitych tkanin z wełny i jedwabiu, a przede wszystkim wyrobem pasów litych, tak bardzo podówczas poszukiwanych - wskutek czego do pewnej zamożności doszedł. Syn tegoż najstarszy, nazwany po ojcu Axentowiczem (czyli po polsku Jakóbowiczem) prowadził dalej przemysł ojcowski, tak, że doprowadził do arcyzmu niebywałego w Polsce, a pasy wyrabiane przez Paschalis Axentowiczów zasłynęły na całym obszarze Rzeczypospolitej jako niedoścignione pod względem piękności i wartości. Toteż panujący podówczas król Jan III Sobieski około roku 1680 w uznaniu usług nadał Paschalis Axentowiczom szlachectwo z przydomkiem Pers czyli Persyan obdarowawszy podówczas żyjącego potomka starostwem słuckim.

W tym czasie pogorzał Słuck kilkakrotnie - przy czym praszczur nasz dotkliwie straty poniósł, a że nadto wytykano mu, że mimo otrzymanego (indygenatu) szlachectwa nie porzucił swego procederu - tym i owym spowodowany odstąpił starostwo i przeniósł się do Warszawy już w drugiej połowie 18 wieku oddając się nieprzerwanie swemu zawodowi. Nastąpiły jednak inne czasy. Przywdziewano coraz bardziej stroje francuskie, zaczęły odbywać się pasy litych i podobnych wyrobów zmniejszała się stale, toteż wycofując się z interesów zakupili Axentowicze majątek ziemski Zielonkę w ziemi warszawskiej, powodzenia jednak brakło.

Przed rozbiorem Polski znalazła się zubożała znacznie familia w Stanisławowie zwąc się jednak według przyjętego zwyczaju - po imieniu chrzestnych głowy rodziny, zatem Augustynowiczami po Augustynie, Mikołajewiczami po Mikołaju, i znów Axentowiczami po Axentim, które nazwisko po dziś dzień pozostało - pochodzi ono po Axentim urodzonym z Jakuba Persyan Augustynowicza w r. 1765 w Stanisławowie, dalej nazwisk nie zmieniano, bowiem rząd austriacki od początku ściśle przestrzegał zachowywania stałego

nazwiska. Dokumenta wyjąwszy metryk zachowanych w ówczesnej kapitule stanisławowskiej przypadły już to zapewne w pożarach Słucka i później - pierścień nawet herbowy przechowany dostał się był do rąk dziś żyjących potomków i w niewytłumaczony sposób w ostatnich latach zaginął.

Relację tę obszerniej opowiadał mi Ks. Stryj Jakób, Kanonik Kapituły orm. We Lwowie, Prałat i Szambelan Jego Św. Papieża, zmarły w Wilię Bożego Narodzenia w roku 1878, a urodzony z Augustyna w Stanisławowie w r. 1799.

Horodenka, 20.VII 1882

Kabzanie - tradycje przedsiębiorczości

Grzegorz PEŁCZYŃSKI [Poznań]

Jak wiadomo Ormianie w Rzeczypospolitej szlacheckiej mieli pewną specyfikę ekonomiczną. Spora ich część utrzymywała się z handlu ze Wschodem albo z wytwarzania przedmiotów luksusowych. To, co sprowadzali z zagranicy czy wyrabiali w swoich warsztatach służyło ówczesnym elitom społeczeństwa polskiego. Z tego względu Ormianie od dawna żyli blisko tych elit i w końcu, przynajmniej niektórzy, stawali się ich częścią. Niejeden bowiem ormiański kupiec czy rzemieślnik dorobił się ogromnego majątku. Nic przeto dziwnego, że wytworzył się stereotyp bogatego ormiańskiego kupca, który, jak się mogłem niejednokrotnie przekonać, żywy jest do dnia dzisiejszego. Bogaty i zarazem sprytny Ormiaszka handlujący towarami wschodnimi niejednokrotnie występował w polskiej literaturze pięknej¹.

Nie tylko zresztą w Polsce Ormianie uchodzą za wyjątkowo bogatych. Przyczynia się do tego niewątpliwie prowadzona przez nich działalność gospodarcza nierzadko uwieńczona sukcesem. Jest to zjawisko dotyczące niejednej grupy etnicznej żyjącej w diasporze².

Ormianie polscy w wieku XVIII przestają już być pośrednikami między krajem ich osiedlenia a Wschodem, do czego przyczyniły się rozbiory państwa i przemiany kulturowe w Polsce. Ale zmiana nie nastąpiła z dnia na dzień, Ormianie z wolna wyzbywali się swych dawnych pozycji ekonomicznych i przystosowywali się do nowych warunków. Jako ludność dosyć mobilna, umieli się łatwo adaptować, w czym pomagały im niewątpliwie dość spore zasoby finansowe, gromadzone systematycznie przez niejednego ród w ciągu stuleci. Dlatego w czasach Arcybiskupa Teodorowicza wiodło im się na ogół bardzo dobrze w porównaniu z innymi grupami etnicznymi mieszkającymi również w kraju, którego oficjalną nazwę przekręcano,

1 Kościów Z. Motyw ormiański w literaturze polskiej. "Opole", nr 8/1987, s. 22.

2 Gellner E. Narody i nacjonalizm. Warszawa 1991, s. 126-127.

by wyrazić jego nędzę: "Królestwo Galicji i Głodomerii". W każdym razie było wśród nich tylu ludzi zamożnych, że Ormian uważano za bogaczy. Szczególnie chyba lud, zwłaszcza ukraiński o bogactwie ich był przeświadczony³.

Mimo iż w wieku XX Ormianie nie zajmują się tym, czym ongiś wydaje się jednak, że nadal pozostali ludźmi przedsiębiorczymi. Dzięki tej przedsiębiorczości, choć nie tylko dzięki niej, zajmowali wysoką pozycję w społeczeństwie Galicji Wschodniej i Bukowiny. Ową przedsiębiorczość daje się jeszcze zauważyć w działalności gospodarczej Ormian w czasach Teodorowicza, aczkolwiek z powodów ówczesnych kryzysów ekonomicznych, nawet mając talenty kupieckie, nie zawsze się udawało w tej działalności osiągnąć sukcesy.

Z dawnych czasów pozostał Publiczny Zakład Zastawniczy "Mons Pius" przy Katedrze Ormiańskiej we Lwowie. Pod tą długą nazwą kryje się bank powstały w końcu wieku XVIII w wyniku połączenia czterech mniejszych z inicjatywy władz austriackich. Banki takie jak "Mons Pius" zaczęto tworzyć w XV stuleciu we Włoszech, a później w innych krajach katolickich i z włoska zwano je *monte di pietà* (góra pobożności). Chroniły one przed lichwą udzielając tanich kredytów, z zysków natomiast wspierały ubogich. Jediną taką instytucją przetrwała na ziemiach polskich aż po wiek XX jest "Mons Pius"⁴.

Na początku XX wieku bank ten, choć niewielki, funkcjonował prawidłowo i z powodzeniem wypełniał swoje zadania charytatywne. W tym czasie rozporządzał kapitałem dochodzącym do pół miliona koron austriackich. Ale wszystko to czy prawie wszystko przepadło w wyniku kryzysu spowodowanego pierwszą wojną światową. Trudności gospodarcze Drugiej Rzeczypospolitej uniemożliwiły mu przywrócenie dawnej świetności. Bank nie przestał istnieć tylko dzięki finansowemu poparciu kurii metropolitarnej, która pewnie chciała, ażeby się znów rozwinął i służył jej celom. Toteż niejednokrotnie reklamowano jego usługi, zachęcano do współpracy z nim⁵. Jednakże

3 Sys T. Ukrainkij fol'klor ob armjanach. Wiestnik Erewanskogo Universiteta, 1967, nr 1, s. 182-188.

4 Janusz B. "Mons Pius" Ormian lwowskich. Lwów 1928.

5 Krzysztofowicz B. "Mons Pius" Ormian lwowskich. Gregoriana, 1936, nr 1-2, s. 69-70.

dla Ormian prowadzących wielkie interesy bank ten był po prostu za mały, by udzielać odpowiednich kredytów. Z różnych względów niewiele lokowano w nim kapitałów, mimo iż oprocentowanie wynosiło 8% w stosunku rocznym. Jednak "Mons Pius" przetrwał do końca okresu międzywojennego. I chociaż wzór tej instytucji powstał we Włoszech, kojarzyła się ona nieodparcie z polskimi Ormianami.

Kupiectwo uprawiali jeszcze najbardziej Ormianie kucy, lecz nie handlowali oni, jak dawniej kupcy lwowscy czy zamojscy towarami wschodnimi, a zwierzętami rzeźnymi i końmi. Sami organizowali hodowlę na karpackich połoninach wykorzystując do tego Hucułów doskonale znających się na pasterstwie górskim. Hodowlę prowadzono też w pobliskiej a żyznej Besarabii. Dobrze wypasione bydło spędzano do stacji kolejowych, skąd wieziono je do Oświęcimia, Ołomuńca, a nawet do Wiednia. Sprzedawano je ponadto na jarmarkach wołowych w Żurawinie, Wonitowie czy Bołszowcach. Handlu bydłem imali się na terenie Galicji także Żydzi, ale Ormianie potrafili sobie radzić z tą konkurencją⁶.

Dotkliwie straty ponieśli ci pokucy Ormianie, którzy w chwili wybuchu wojny światowej znajdowali się w Besarabii, a więc na terytorium wrogiego Austro-Węgrom państwa rosyjskiego. Zostali oni bowiem internowani, ale wstawiło się za nimi u władz wojskowych wyższe duchowieństwo i dlatego nie osadzono ich w obozach. Musieli jednak, sprzedawszy inwentarz, często po nader niekorzystnych cenach, zamieszkać w miastach pod kontrolą władz. Pozwolono im wrócić do domu dopiero w roku 1917. A że pozostałym w Kutach kupcom nie wiodło się w czasie wojny zbyt dobrze, więc po jej zakończeniu ormiański handel bydłem przeżywał kryzys⁷. Z tej przyczyny niejeden kuczczanin musiał szukać zarobku gdzie indziej.

W ostatniej ćwierci XIX stulecia działały w Kutach należące do Ormian warsztaty, w których wytwarzano wyroby ze skóry⁸. Przede wszystkim należy wymienić tu wytwórnie skór safianowych zwane *tabarcharniami* bądź *pandunami*. Lecz w dwudziestoleciu międzywojennym ten ostatni na ziemiach polskich ośrodek ormiańskiego rzemiosła już właściwie nie istniał.

6 Kolberg O. Pokucie. Wrocław-Poznań 1962, s. 4-5; Wójcik-Keuprulian B. Ormianie polscy. Lwów 1933, s. 31; Kościów Z. Wiadomość o Ormianach kuckich. IX publikacja KZKO, Warszawa 1989, s. 10.

7 Mojzesowicz M. O Ormianach w Kutach. Poślaniec św. Grzegorza, nr 1, s. 10.

8 Kolberg O. *Op. cit.* 6, s. 25.

Jeśli nawet Ormianie polscy w epoce arcybiskupa Teodorowicza prowadzili jakieś sklepy czy firmy usługowe, to działalność ta wcale ich zbyt nie wyróżniała. Na pewno nie wyspecjalizowali się w jakiejś branży handlu czy usług. Jedyne może w Kutach uroczono położonych u stóp góry Owidiusz i nad brzegiem Czeremoszu, wiele rodzin wynajmowało pokoje w swoich domach letnikom. Znany był nadto pensjonat "Ustronie" w Worochcie prowadzony przez Petrowiczów i pensjonat "Stenia" w Jeremiczach należący do Stefanii Sadlińskiej. We Lwowie znajdowały się trzy apteki prowadzone przez Ormian: Kajetana Kajetanowicza, Izzydora Zerygiewicza i Mikołaja Sarkisiewicza. Można by jeszcze wymienić po jednej takiej aptece w Stanisławowie i Zakopanem. Poza tym istniały sklepy różnych branż we Lwowie i na prowincji.

Niemalże polskich Ormian zajmowało się rolnictwem posiadając lub dzierżawiąc większe bądź mniejsze majątki ziemskie. Ten rodzaj działalności gospodarczej związany był z przynależnością do szlachty. Szlachectwo niektórych rodzin ormiańskich pochodzi z początku XVII stulecia⁹. Szczególnie dużo nobilitacji było w pierwszych dziesięcioleciach okresu zaborów, albowiem cesarze austriaccy hojnie nadając Ormianom szlacheckie godności mniemali, iż w ten sposób stworzą w Galicji lojalną wobec siebie elitę¹⁰. Plany te nie ziściły się, gdyż uszlachceni Ormianie asymilowali się wśród szlachty polskiej.

Trudno powiedzieć jaki procent Ormian w epoce arcybiskupa Teodorowicza cieszył się szlachectwem i jaki procent galicyjskiej i bukowińskiej szlachty stanowili Ormianie. A w związku z tym nie można obliczyć jak wielki obszar ziemi znajdował się w ich posiadaniu. Wprawdzie prace heraldyczne wymieniają kilkadziesiąt, a nawet ponad sto rodów o ormiańskich nazwiskach, ale nie podają stopnia ich polonizacji. Niewątpliwie jednak w Galicji i chyba jeszcze bardziej na Bukowinie ormiańscy ziemianie mocno się wyróżniali. Nazywano ich *Kabzanami* - z czasem nazwa ta przeszła na wszystkich Ormian polskich - wyrażać zaś miała ich zamiłowanie do pieniędzy, do napętlania kabzy. Czy rzeczywiście mieli oni taką skłonność?

9 Theodorowicz L. Nieco o heraldyce i rodach Ormian polskich. Lwów 1925, s. 9.

10 *Ibidem*, s. 8; Krzczunowicz K. Historia jednego rodu i dwu emigracji (t. 1), Londyn 1973, s. 61-63; Augustynowicz-Ciecierska H. Ormianie - kulturze polskiej, "Tygodnik Powszechny", 1976, nr 38, s. 4-5.

Odpowiedź na to pytanie przynosi fragment wspomnień Bogusława Longchamps de Berrier: W gospodarstwie polskim Ormianie nasi stanowili czynnik wysoce dodatni. W młodości swej dając upust temperamentowi - pisze on - niekiedy nawet rozrzutni, z ustatkowaniem się, sprytem, zapobiegliwością, zdolnościami administracyjnymi i zmysłem realnym sowiec nadrabiali nadszarpniętą fortunę, z której jednak nie skąpili wcale na cele narodowe i humanitarne. Natomiast nigdy nie godzili się na naruszenie swych praw i zawsze bronili z niesłychanym wprost uporem każdej należącej im choćby najdrobniejszej rzeczy, posuwając się często do pieniactwa. Ci nawet, którzy dziesiątki tysięcy wydawali na cele narodowe, charytatywne lub protegowanie sztuki, nawet ci, którzy przegrywali poważne sumy (gdyż wielu z nich lubiło grę), ci sami latami całymi walczyli o każdy grosz niesłusznie wymierzonego im podatku, okazując przy tym gruntowną znajomość austriackich ustaw podatkowych¹¹. Taka postawa widocznie ich wyróżniała na tle galicyjsko-bukowińskiego ziemiaństwa, w przeciwnym razie autor by o niej nie wspomniał. Nie chcę tutaj rozstrzygać czy jest ona zgodna z kupieckim czy z sarmackim etosem, tak czy owak niejednemu ormiańskiemu ziemianinowi dopomogła osiągnąć imponujące sukcesy w gospodarstwie rolnym.

Przykładem takiego ziemianina jest Ludwik Theodorowicz, w okresie międzywojennym właściciel Niezvisk. Oto jak wspomina o początki swojej rolniczej kariery: W powiecie horodeńskim nie tylko najlepszym gospodarzem, ale i organizatorem życia gospodarczego był Wiktor Abrahamowicz, właściciel Targowicy Polnej, przyjaciel mego ojca. Gdy po objęciu gospodarstwa zacząłem składać wizyty u sąsiadów, rozpocząłem od Wiktora Abrahamowicza. Był on prezesem Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Horodence i Związku Plantatorów Buraka Cukrowego na Pokuciu przy cukrowni w Horodence. W czasie odwiedzin Targowicy powiedział mi: "Zabieram pana do roboty społecznej". I przeprowadził mój wybór na sekretarza tych organizacji. Szybko zorientowałem się, że trzeba odpowiedniego zarządu. W tym celu przyjąłem dwóch inspektorów, jednego do Towarzystwa Rolniczego, drugiego do Związku Plantatorów. [...] Dzięki dobrze zorganizowanej kontroli wag oraz należytego oprocentowania zanieczyszczeń ziemią buraków dostarczanych do cukrowni, zyskałem uznanie u plantatorów i dużą popularność. Po dwóch latach jako sekretarz tych organizacji, wobec ciężkiej choroby i śmierci Wiktora Abrahamowicza,

11 Longchamps de Berrier B. Ochrzczone na szablach powstańców. Wrocław 1983, s. 271.

zostałem wybrany prezesem obu tych organizacji, a miałem wtedy 28 lat¹². Ów Abrahamowicz nie był jedynym na Pokuciu ormiańskim ziemianninem znakomicie radzącym sobie jako rolnik. W całej Galicji i na Bukowinie takowych było wielu.

Nie wszyscy Ormianie utrzymywali się z działalności gospodarczej. Prócz kupców, właścicieli przedsiębiorstw usługowych i rolników znajdowali się wśród nich przedstawiciele zawodów inteligentnych, takich jak nauczyciele, naukowcy, biuraliści czy innych, typowych wówczas dla klasy średniej.

Trochę miejsca poświęcić muszę imigrantom przybyłym do Polski w pierwszych dekadach XX wieku, przede wszystkim na początku lat dwudziestych. Ci z nich, którzy uciekli z Turcji czy Rosji ratując życie znajdowali się niekiedy w wyjątkowo trudnej sytuacji ekonomicznej. Niektórzy pobyt w Polsce traktowali jako tymczasowy, więc nie dążyli do jakiejś stabilizacji. Pozostali wręcz przeciwnie, zatrzymywali się tutaj na stałe, bądź przez dłuższy czas taki mieli zamiar. Pośród nich wyróżnia się kilku kupców, którzy prowadzili w Warszawie sklepy z importowanymi ze Wschodu dywanami. A więc firma należąca do Szake Ter-Abraamiana handlująca nie tylko dywanami, lecz także antykami. Tę samą branżę reprezentowali bracia Panosian, Sarkis i Garapet. Była też firma zajmująca się sprzedażą i naprawą perskich dywanów należąca do Saakiana. Ich naprawą zajmował się również Grigorij Dandurian i Waginak Wartanian¹³. Na Targach Wschodnich we Lwowie w roku 1930 wystawiali dywany kupcy ormiańscy z zagranicy, a także Stefan Aśfanoff z Warszawy. Zatem po dwóch stuleciach Ormianie znów zaczęli do Polski przywozić towary wschodnie.

12 Theodorowicz L. Garść wspomnień Ormianina polskiego. Gliwice 1989, s. 66-67.

13 Tryjarski E. Iz istorii varšavskich armjan. Istoriko-Filologičeskij Žurnal, 1988, nr 1, s. 53-53.

K R O N I K A

- 11.VI 1999 W Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie wystąpił Mariusz Koluch (Akademia Muzyczna) z koncertem "Pieśni świata", w programie którego znalazły się pieśni ormiańskie.
- 22-23.IX W Erywaniu odbyła się Konferencja "Armenia-Diaspora", na której społeczność polskich Ormian reprezentowali Adam Terlecki i Stefan Sawicki (członkowie Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego).

Nasze spotkania

- 31.V 1999 Prelekcja "Represje sowieckie względem księży ormiańskich we Lwowie w latach 1940-45" (ks. Józef Wołczański).
- 27.IX Wstępna relacja z Konferencji "Armenia-Diaspora" w Erywaniu oraz informacja o sytuacji w środowisku polskich Ormian po incydencie w sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Gdańsku (Adam Terlecki).

Spis treści:

- 3 **A. Danilewicz** - W jednym piekle dwa piekła
- 16 **M. Persyan-Axentowicz** - Ród Persyan Axentowiczów
- 18 **G. Pełczyński** - Kabzanie - tradycje przedsiębiorczości
- 24 **KRONIKA**